

Kula do trumny

Banderowcy czuli się coraz pewniej, coraz częściej paradowali w kilku po wsi z ledwo ukrytą za pazuchami bronią, szukali zaczepki i okazji do rozlewu krwi oraz do łatwego zysku, a właściwie grabieży. Niemal na oczach ludzi przywłaszczali sobie różne przedmioty, które sobie upodobali, czasem ironizując z okradzionych i strasząc. Robili się coraz bardziej natrętni, pewni siebie, zadziorni i nachalnie prowokacyjni. Zaczepiali co ładniejsze kobiety, nawet mężatki, obmacywali je, chwytali za ręce i włosy, próbowali przewracać, zrywać z nich odzież, czyniąc im nieprzyzwoite propozycje.

Na podwórze dziadka Władka, wtedy pięćdziesięciolatka, weszli pewnego dnia dwaj uzbrojeni banderowcy. Gdy ich zauważył przez okno, wybiegł na ganek, aby zapytać, czego chcą od niego. Nie chciał ich wpuścić do chaty, bojąc się bliskiego kontaktu z nimi jak zarazy. Zdenerwowany perspektywą spotkania z nimi w czterech ścianach domu, chciał ich pogonić od progu.

– Czego tu szukacie, tutaj wy nic nie zgubili – zawołał.

– Zaraz zobaczymy, a może jest tu coś naszego – na ich twarzach malował się obraz bezkarnej arogancji i poczucia własnej wyższości, wynikającej z przekonania o swojej przewadze.

– Ja do was niczego nie mam i nic od was nie chcę.

– Ależ dziadku, wam się coś pomieszało, że nie szanujecie sąsiadów z Majdanu.

– To mój dom i proszę natychmiast wyjść z podwórza.

– Nikt nas nie będzie wyganiał! Wyjdziemy, jak sami zechcemy.

Młodzi opryszkowie zaśmiali się, pokazując w krzywych uśmieszkach błyskające złowrogo zęby, i podchodzili coraz bliżej. Dziadek całym swoim ciałem zagroził im wejście na ganek.

– Poczuj, dziadku, z czym do ciebie przychodzimy – starszy przez połą kurtki szturchnął go pod żebra lufą pistoletu. Młodszy go po chwili popchnął.

W czasie szarpaniny dziadek się przewrócił. Gdy leżał, młodszy z banderowców, na oko szesnastolatek, podszedł do niego, wycelował mu w twarz pistolet i mówi:

– Módlcie się, dziadku, bo to wasz koniec – celował mu w usta. Gdy oddawał strzał, dziadek odruchowo ruszył głową. Po strzale jego twarz, głowa, szyja i piersi zalały się krwią.

Gdy banderowiec chciał drugi raz strzelić, celując tym razem w skroń, aby go dobić, pistolet się zaciął.

Ktoś, kto pojawił się tuż za płotem, już ich zaczął niespokojnie nawoływać.

– Uciekajcie! Jadą Niemcy!

Z drugiej strony wsi zbliżał się niemiecki patrol na motocyklu. Banderowcy pobiegli po chwili do sadu, przez płot czmychnęli chyłkiem na pole, dali susa w zboże i wkrótce zniknęli jak duchy za mroczną ścianą pobliskiego lasu. Dziadek nieprzytomny leżał przed gankiem. Babcia, która wybiegła w chwilę po strzale, słyszała nawołujących się uciekających bandytów.

Tyle krwi stracił, że chyba nie przeżyje – pomyślała. Nieprzytomny z bólu, oghuszony wystrzałem, konwulsyjnie kopał nogami i rękami, rozgarniał ziemię przed sobą. Gdy przestał kopać i znieruchomiał, pomyślała, że umarł. Wtedy zobaczyła, że w dłoni ściska garść ziemi, w której tkwił wystrzelony przed chwilą pocisk.

Musiał wykopać ten sam pocisk, który wystrzelił w niego zabójca – pomyślała. Na podwórze podjechał dwuosobowy patrol w niemieckich mundurach na motocyklu uzbrojonym w rkm.

– Bandyci pobiegli tam! – zawołała, wskazując na las. Jeden z żołnierzy obejrzał głowę rannego. Pokazał, że dziadek ma przestrzelony tylko policzek, i widząc jej bezradność oraz zdenerwowanie, dał babci podręczny opatrunek. Gdy obmyła mu głowę zimną wodą, otworzył oczy. Dziadek zdziwił się, że zamiast dwóch banderowców widzi przed sobą dwóch Niemców.

To aż tak ze mną źle? – pomyślał. Jak nie jedno hady¹, to zaraz drugie na mnie nachodzą. To już koniec świata albo jeszcze gorzej.

Okazało się wkrótce, że pocisk przestrzelił mu tylko policzek,

¹*hady* (ukr.) – gady

nie czyniąc więcej szkody. Toteż, jakkolwiek sporo czasu się męczył, gorączkował i rana ropiała, dziadek jakoś przeżył. Do końca życia nosił na policzku bliznę, która czasami prowokowała, zwłaszcza dzieci, do zadawania mu pytania, po którym musiał wielokrotnie opowiadać tę historię.

Babcia do końca jego życia przechowywała w domu ten pocisk w pudełku na ozdoby. Zabrała go ze sobą, gdy jak tysiące innych uciekinierów, wygnańców i przymusowych repatriantów wyjeżdżali z Kresów Wschodnich na zachód, na ziemię – nad Odrą – jak mówili.

Gdy dziadek zmarł w roku 1956 w swoim nowym domu pod starym lasem, w innej Dąbrowie niż ta, w której się urodził, dali mu tę kulę do trumny. Z tą kulą spoczął na cmentarzu w Krośnicach. Tak banderowska kula, niczym symbol przeznaczenia, powędrowała z dziadkiem z Wołynia na Dolny Śląsk i spoczęła w ziemi razem z nim w Dolinie Baryczy, tysiąc kilometrów od jego ojczyzny.

Nie mógł tak, jakby tego chciał, spocząć, jak jego przodkowie, na wieki w swojej ojcowiznie, gdyż ją stracił, i do końca życia nie odzyskał. Jednak i tak znalazł się w lepszej sytuacji od setek tysięcy tych, którzy stracili w tamtym czasie i ojcowiznę, i życie.

Wołyńska Atlantyda

Kiedy po sześćdziesięciu pięciu latach od ucieczki z ojcowizny jedzie z Sergijem na poszukiwanie miejsc, gdzie była jego rodzinna Kamienna Góra, w której się urodził, przychodzi Alfowi do głowy myśl – oto Wołyńska Mała Atlantyda.

Ten teren, po którym chodzimy, to istna wyspa śmierci w trójce słynnych miast: Dubna, Ostroga i Krzemieńca.

Dziś oficjalnie nazywa się tę część Wołynia Dermańsko-Mostowski Park Krajobrazowy. Na terenie, gdzie się obecnie rozpościera ten park krajobrazowy, istniały jeszcze w pierwszym kwartale roku 1943 polskie wsie – Balarnia, Hurby, Demidówka, Hucisko Piaseczne, Hucisko Garncarskie, Antonowieckie, Horodyskie, Janowe, Pikulskie, Stożeckie Hucisko, Huta Stara, Kamienna Góra, Kirylówka, Litowiszcze, Lubomirka, Majdańska Huta, Marynki, Piaseczna, Świnodebra, Zielony Dąb. Dziś po tych wsiach nie ma śladu. Jakby uderzyła bomba o wielkim zasięgu i zniszczyła wokoło wszystko, co polskie.

Nie ma też śladu upamiętniającego ich istnienie ani tragiczną śmierć ich polskich mieszkańców. Zostały tylko otaczające je wsie ukraińskie, jak Dermań, gdzie urodził się znany pisarz Ułas Samczuk, i dalej Buszcza, Piwcze, Buderaż, Moszczanica, Stupno, Iłowica czy Majdan. Nieliczne ślady, które pozostały, zasypał piasek czasu albo zatarto je rękami ludzi. Nawet ślady w pamięci coraz bardziej z czasem się zacierają. Dla miejscowych mieszkańców te ślady zapadają w niepamięć także dlatego, że są to ślady zbrodni dokonanych na Polakach, nierzadko przez ich sąsiadów i znajomych, a czasem przez krewnych.

Dzieci z tych stron, które czasami biegają po tamtych pustych miejscach, myślą, że miejsca te zawsze były bezludne i wyglądały tak samo jak dziś, także sto lat temu, i nikt ich nie wyprowadza z błędu.

W roku 2000 pośrodku pobliskiej wsi ukraińskiej stanął pomnik z napisem „Chwała bohaterom UPA”.

Kłym Sawur, Kłym Sawur – powtarzał jak zaklęcie, jak imię tatarskiego okrutnika. Roman Klaczkowski brzmi bardziej cywilizowanie.

Pani doktor Lucyna Kulińska z Krakowa napisała niedawno w swojej rozprawie o tym, dlaczego Polacy tak mało wiedzą o ostatnich zbrodniach OUN² i UPA na Kresach.

Tam bowiem ginęli przede wszystkim prości chłopci, za których dziś nie ma się kto upomnieć. Nie tak, jak o oficerów z Katynia.

Wielka Atlantyda Kresów, to dwa tysiące polskich wsi, utopionych we krwi miliona Polaków – pomyślał.

To była tak zwana akcja oczyszczalna, w której strilcy³ i ich pomocnicy oczyszczali teren z takich jak ja, czyli z Lachów. Chaty płonęły przez kilka dni, zanim nie spłonęły wszystkie.

Chodził po uroczysku, mijał reszki studni, kawałki piaskowca po fundamentach budynków, miejscami spotykał zdziczałe drzewa owocowe, z których zjadał słodkie, o dziwo, jabłka.

Lepsze jabłka niezgody niż gruszki kłamstwa – myślał.

I przypominał sobie opowiedziane mu przez ponad pół wieku historie, które w końcu musiał opisać.

²OUN – Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów

³*strilcy* (ukr.) – strzelcy

Część I

OSTATNIE LATO W RAJU

Fragment przypowieści Wernyhory

*Polska powstanie ze świata pożogi
Dwa orły padną rozbite
Lecz długo jeszcze los jej złowrogi
Marzenia ciągle nieżyte*

Próba rozrachunku

*Ledwo spojrzałem na świat
Anioły iskrząc odlatywały do nieba
I nie miałem już wołyńskiego domu*

*Potem cały czas wędrując
Gapilem się na zimne gwiazdy
Rzuciałem piekącymi pytaniami*

*Huśtany przez zmienne fale
Mogłem przeoczyć odpowiedzi*

*Na stare lata
Chwyciłem się kartki papieru*

Alf Soczyński

Moszko, Adolko i Wasyl

Był jeden z kolejnych lipcowych dni tego lata, jak większość innych na wołyńskiej wsi, pracowity i gorący. Po wysuszonych trawach i chwastach poboczy pylistych dróg prowadzących na północ od Szumska, leżącego w widłach wołyńskich rzeczek Kумы i Wilii, siedł od wczesnego ranka pochylony nieco, starszy już człowiek, sądząc po posturze i ruchach. Był ubrany w luźną szarą bluzę, nakładającą się do połowy ud na ciemniejsze nieco, płócienne spodnie. Jego siwą głowę okrywał kapelusz, miękki i jakby niedbale uformowany w powywijane na wszystkie strony kształty. Przez luźne łapcie z wierzbowego łyka prześwitywały jego gołe, pokryte kurzem stopy. Gdy schodził z bardziej stromych wzniesień, podpierał się laseczką, którą sam sobie wygiął we wrzącej wodzie z leszczy nowego kija. Na plecach dźwigał stary plecak, jakby wojskowy, poaustriacki rucksack, pamiętający czasy pierwszej wojny światowej. Wysuszona, smągła twarz z wyraźnie wystającym, spiczasto zakończonym nosem okolona była zwisającymi po bokach pejsami. Chwilami, zwłaszcza po pokonaniu kolejnego pagórka, przystawał, by odetchnąć. Wtedy rozglądał się po okolicy, po jakby przed chwilą namalowanych, łagodnych wzgórzach i cienistych parowach, po falujących w słońcu łąkach zboża, gryki, łąk, ziemniaków, otoczonych zielonymi płachtami lasów.

Pod przydrożnymi drzewami sięgał czasami po bardziej dojrzałe ulegalki, ugryzł kilka kęsów, krzywił się i wyrzucał ogryzki. Zrywał chabry na poboczach łąków zbóż, by przez chwilę poczuć ich słodki zapach, na łąkach podziwiał jaskry i dmuchawce. Minął las jeden, drugi, minął rozlewiska rzeczki Hłowicy. Szukał cienia lip, klonów, dębów i topoli. Upał w lesie był mniejszy i pozwalał odetchnąć od niemilosierznego chwilami żaru słońca.

– Ach, jak dobrze by było malować te nasze Krzemienieckie Góry. Może by to był lepszy interes, sprzedawać nawet nieduże

obrazki. Nie tylko w Szumsku, ale i w Dubnie, Krzemieńcu, nawet Ostrogu, a może i w Równem – mówił do siebie, gdy znalazł się na wzgórzu i rozejrzał się dokoła. Patrząc na rozpościerające się przed nim krajobrazy, miał wrażenie, jakby poruszał się po świecie z bajki.

– I czego człowiekowi więcej potrzeba – westchnął. – Czy nie wystarczy do szczęścia to powietrze i te widoki godne najpiękniejszego i najprawdziwszego królestwa? I nie ma w tym żadnej przesady, gdyż tutaj, w tych stronach, bywali kiedyś i panowali wielcy książęta i królowie.

Minął już Waśkowce, w Kutach, gdzie przekroczył rzeczkę Kutjanę, była dopiero połowa drogi. Minął Drygany, Marynki, Hucisko Pikulskie i Piaseczną.

Dopiero gdy znajdował się wśród ludzkich siedzib, przypominał sobie, że ma w plecaku towar. Stawał przed zabudowaniami i czy kogo spotkał za płotem na podwórzu, czy nie, wołał, jak mógł najgłośniej, śpiewnym głosem:

– Igły, nici, napaarstki, nożyczki!

Jak dojdę do Kamiennej Góry, to wreszcie odpocznę, a jak będzie na miejscu Adolko, to będzie można pogawędzić, jak zawsze – pomyślał, gdy jego oczom ukazały się pierwsze zabudowania kolejnej wsi. Dobrze byłoby mieć konia i wózek, ja już za stary chodzić na piechotę.

Szedł samym środkiem pustej drogi przez jakby wyludnioną wieś.

Wszyscy w polu, jak wszędzie – pomyślał. Chyba i tu nie zarobię.

Szedł od jednej zagrody do drugiej i przystanąwszy przy zamkniętej bramie, wołał:

– Igły, nici, nożyczki, napaaarstki!

Dziadek Ado, zrywający właśnie w sadzie wiśnie, już z daleka usłyszał to jego zawodzenie – tak pomyślał z początku i tylko przez chwilę, jakby z lekką kpina, ale już po chwili myślał o niezapowiedzianym gościu z jakimś miłym ciepłem.

Aha, nasz Żyd Moszko znowu dziś robi interesy.